

IRENA KARCZEWSKA ur. 1928; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Rodzina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, Abramowice, Tobiasz Tadeusz Weissberg, Wajsberg, rodzina, Lwigród

Rodzina

Jestem Lublinianką. Nazywam się Irena Karczevska. Urodziłam się 27 września 1928 roku w Lublinie. Matka skończyła KUL i nie pracowała przed wojną, ponieważ było ogromne bezrobocie. Pomagała ojcu. Mój ojciec był lekarzem medycyny, lubelskim, lekarzem ubezpieczalni społecznej. Poza tym był lekarzem bankowym, lekarzem pocztowym i miał jeszcze prywatną praktykę. Moja matka po prostu była jego sekretarką za darmo. Ponieważ panie, które prowadziły kartoteki niestety były bardzo słabo wykształcone, nie umiały ułożyć kart alfabetycznie, więc potem nie można było zupełnie znaleźć tych kart. I tak to trwało do okresu wojny. Mój dziadek był Żydem, nazywał się Tobiasz Tadeusz Weissberg. Jego rodzice, Weissbergowie, mieszkali w Abramowicach, w tym pałacyku na terenie szpitala w Abramowicach. Do dzisiaj stoi ten pałac, ten dworek powiedzmy. Mój dziadek dostał bardzo dobre wykształcenie, skończył Sorbonę we Francji, dział agronomiczno-rolniczy. Wrócił do Lublina i mieszkał na Kalinówce. Wtedy to było pod Lublinem. Miał duży majątek, w ogóle był człowiekiem bardzo bogatym. Już moi pradiadkowie byli ludźmi zamożnymi. Od znajomych dowiedziałam się, że byli bankierami. Ale to już po wojnie, bo przedtem byłam za małą dziewczynką, a w czasie wojny w ogóle się o tym nic nie mówiło, tym bardziej, że czasy były bardzo niespokojne i Żydzi byli prześladowani.

Mój dziadek w ogóle był zasłużony dla miasta Lublina. Mianowicie sprowadził salezjanów [przeszedłszy uprzednio na katolicyzm]. Kupił tamte tereny, gdzie są obecnie salezjanie, tam z kościołem i sprowadził salezjanów. Przykładał bardzo wielką wagę do nauczania, do wiedzy. Przede wszystkim był Żydem, ale był Polakiem i uważał, że ta biedna dzielnica na Kalinowszczyźnie musi się uczyć. Biedne dzieci muszą zdobyć wykształcenie. I tak powstała jedna z pierwszych szkół zawodowych w Lublinie. Poza tym mój dziadek wspierał szkolnictwo, na przykład szkołę Vetterów - to jest w dokumentach szkoły. Poza tym dał pieniądze - oczywiście nie na cały dach, ale na część dachu na KUL-u, choć na to nie mam dowodów. I oczywiście wspierał teatr, bardzo lubił aktorki, bardzo lubił teatr, więc wspierał. Poza tym mój dziadek w ogóle był człowiekiem bardzo poważnym, zawsze chodził przed południem do cukierni, choć miał cukrzycę i musiał trzymać dietę. Jak chodził do cukierni, to chodził do Semadeniego, do Chmielewskiego, albo do Radzymińskiego. Najwięcej chodził do Radzymińskiego, bo tam było jakoś najbliżej. Pił taką bardzo rzadziutką kawę, takie popłuczyny i właśnie to się nazywało kawa

Weissberga. Prawie do dzisiaj jest taka nazwa „kawa Weissberga” i to wiadomo, że to jest taka lurka. Nie pamiętam dziadka zbyt dobrze, dlatego że ja miałam trzy lata, jak dziadek zmarł w trzydziestym pierwszym roku.

Pamiętam, że mój dziadek zbankrutował. Tu dawał, tam dawał, wojska przechodziły w czasie pierwszej wojny światowej, wszystko dziadkowi zabierali. Raz zabrali, drugi raz zabrali, trzeci raz zabrali, to dziadek nie miał już pieniędzy na odnowienie i zbankrutował. Mieszkał wtedy na rogu Chopina i Krakowskiego, nad dawną księgarnią, na pierwszym piętrze. Ja pamiętam tylko ten jeden moment, bo trzy lata miałam. Był jeden nieduży pokój od strony właśnie tego placu. Wtedy właściwie nie było jeszcze księgarni lecz syndykat. Więc dziadek właściwie mieszkał nad syndykatem, później to była księgarnia. I pamiętam taką szafkę, taką otwartą, to nie była komoda, z takim otwieranym blatem, to się jakoś specjalnie nazywało, w tej chwili nie wiem, uciekło mi. Na tym blacie leżał stos sztywnych kołnierzyków, kołnierzyków i mankietów, bo to były jeszcze czasy, kiedy panowie nosili te sztywne mankiety i sztywne kołnierzyki. Ten jeden jedyny moment pamiętam jeśli chodzi o dziadka.

Jeszcze wcześniej, kiedy mój dziadek miał duży majątek, często wyjeżdżał w różnych interesach. Raz pojechał do Rosji, do Elizabetgradu. Tam poznał Żydówkę, bardzo piękną kobietę, przepiękną i ożenił się z nią. Ona urodziła mu córeczkę i tak jak u Anny Kareniny, poszła w siną dal z innym. Mój dziadek z malusieńkim dzieckiem wrócił do Lublina. Wziął taką panią z towarzystwa, która władała doskonale językiem francuskim i ona wychowywała moją matkę. Ta kobieta to była najlepsza przyjaciółka mojej mamy - Nusia Januszewska – Raczkowska. Nazywałyśmy ją Kotuchną i to Kotuchna wychowywała moją matkę. A moja matka w ogóle chciała skończyć nauki medyczne, jednak mój dziadek nie zgodził się na wyjazd mojej matki z Lublina. W Lublinie nie było jeszcze Akademii Medycznej, po wojnie dopiero, także skończyła KUL.

Mój ojciec pochodził z Ciężkowic koło Tarnowa, chodził do gimnazjum do Nowego Sącza i w Tarnowie. Już będąc w gimnazjum walczył o Polskę. Ja mam te dokumenty, udokumentowano to w papierach wojskowych, po które jeździłam do Rembertowa osobiście z Rodziną Katyńską. Także to tak było. A już w czasie pierwszej wojny światowej brał udział, to znaczy sam nie brał udziału w walkach, tylko był ordynatorem szpitala. Jeszcze nie ukończył studiów, ale już był na wyższym roku, w związku z czym prowadził szpital polowy. I nawet była taka sytuacja, że kiedyś tam już szpital był rozłożony, namioty, chorzy ułożeni w łózkach i ojciec wyszedł, przeszedł się dookoła i mówi pielęgniarkom: „Składamy szpital!” „No, panie doktorze, przecież dopiero co położyliśmy do łóżek pacjentów.” „Składamy szpital, rozkaz wojskowy.” I mniej więcej około pół kilometra szpital został znowu założony, chorzy leżeli w łózkach. Co się okazało. Miał on niezwykłą intuicję. W tym miejscu, gdzie był pierwotny szpital polowy, spadły wszystkie bomby. Także gdyby mój ojciec nie miał tej intuicji, to by wszyscy zginęli.

Ojciec był jeszcze w Krynicy jakiś czas, był dyrektorem Lwirodu, ale przed wojną wrócił znowu do Lublina. Mój ojciec lubił grać w brydża. Był wesołym człowiekiem, bardzo żywym, ale też takim poważnym z drugiej strony. Dużo się dokszałcał, jeździł za granicę, do Niemiec także. Nawet poznał w Niemczech Matsuokę - to był Japończyk, też lekarz medycyny, też się specjalizował. Ojciec bardzo pomagał chorym. Przed wojną była straszna bieda, straszna. Często w rodzinie były tylko jedne buty dla dzieci, więc dzieci na zmianę chodziły do szkoły. Jak ojciec zobaczył, że ktoś był chory - przeważnie już było za późno, jak wzywali lekarza - ale dawał pieniądze na leki. Później, przed samą wojną, to ten kryzys był mniejszy, ale nie bardzo długo to trwało.

Data i miejsce nagrania	2003-11-20, Lublin
Rozmawiał/a	Marzena Baum
Transkrypcja	Marzena Baum
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"